



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Andrzej Iwański

## W kamienicy przy Łuckiej

Gdy rozpoczęła się II wojna światowa miałem 4 lata. Urodziłem się przy ul. Łuckiej 8 w Warszawie w kamienicy, której dane było przetrwać tę burzę i powstanie warszawskie i która obecnie wpisana została do rejestru zabytków.

Chociaż w tamtym okresie byłem dzieckiem, pewne wydarzenia głęboko zakorzeniły się w mej pamięci – jak stary film odtwarzany na kasecie video. Niektóre obrazy z dalekiej przeszłości przybierają ostre kształty i kolory.

Zacznę od opisu kamienicy, w której mieszkalem od urodzenia do roku 1955. Tak jak do wszystkich kamienic okresu przedwojennego wchodziło się do niej przez dużą metalową bramę, składającą się z dwóch części. Pierwsza – mniejsza – służyła dla pieszych, druga – większa – dla pojazdów motorowych i konnych (ta otwierana była tytko w koniecznych przypadkach). Bramy były zamykane w godzinie policyjnej tj. o 21 lub 22. Klucz był w posiadaniu dozorczy, którego nazywano potocznie „cieciem”. Z bramy na lewo i prawo były wejścia do trzypiętrowych klatek schodowych. W podwórku stał budynek sześciopiętrowy, a po przeciwległej stronie trzypiętrowy. Całość tworzyła zamknięty plac. Dozorca każdego dnia od rana sprzątał, po czym siadał na ławce przed domem obserwując wchodzących ludzi i dzieci bawiące się na podwórku. Każdy obcy przechodzień był pytany przez dozorcę do kogo idzie i bacznie lustrowany. Eliminowało to całkowicie możliwość dokonania kradzieży lub napadu. Przy jakichkolwiek podejrzaniach brama była zamykana na klucz i ewentualny sprawca nie miał możliwości ucieczki. Na podwórku był ogródek z trawą i kwiatami i nikt nie ośmielił się naśmiecić, gdyż spotykał się z ostrą reprymendą dozorczy. Co pewien czas na posesję przybywał granatowy policjant sprawdzający czystość i porządek. Jeśli nie było posprzątane karał mandatem pieniężnym dozorcę domu.

Podwórko było w owych czasach jedynym miejscem zabaw. Rozgrywało się tam mecze piłkarskie tzw. „szmacianką”, tj. piłką zrobioną z gałganów, bo futbolową – z uwagi na jej cenę – grywały tylko dzieci z bogatych rodzin. Najczęściej z braku innego terenu grywało się na betonie i pomimo wielu upadków i urazów, szczególnie bramkarza, nie zdarzały się groźne kontuzje. Inną praktykowaną zabawą, którą zapamiętałem, były tzw. wyścigi kólek. Na czym to polegało? Otóż w czasie, gdy w mieszkaniu nie używano akurat kuchni, brało się z niej żelazną fajerkę. Z drutu robiło się tzw. „popychacz” i tym przyrządem popychało się ją, biegnąc z dużą szybkością. Trzeba było przy tym uważać, by fajerka nie przewróciła się, co przy szybkich obrotach nie należało do rzeczy łatwych. Wygrywał ten, który bez upadku pierwszy pokonał wyznaczony dystans.

W okresie późniejszym bardzo modne i popularne stały się hulajnogi. Były to pojazdy wykonane z deski, do której pod spodem montowano dwie pary łożysk tocznych stanowiące koła. Z przodu była

kierownica zrobiona z deski o wysokości około 1 metra. Obie deski stanowiły jedną całość zespoloną skórzanym paskiem.

Oprócz opisanych zabaw zapamiętałem mój pierwszy kontakt ze szkołą. Było to 1 września 1943 roku. Mama zaprowadziła mnie do 1 klasy konspiracyjnej szkoły prywatnej, która mieściła się w kamienicy u zbiegu ulic Żłotej i Żelaznej. Przed lekcjami odbywała się wspólna modlitwa, w której uczestniczyli również nauczyciele. Mój szkolny ubiór stanowił granatowy fartuszek z białym kołnierzykiem. W tornistrze oprócz książek i zeszytów znajdował się drewniany piórnik z przegródkami na ołówki, kredki, gumki do wycierania, pióra i stalówki. Rodzaje stalówek były zróżnicowane, w zależności czy służyły do grubego czy cienkiego pisania. W ławce szkolnej siedziało 2 uczniów, a w środku stołu było wgłębienie, w którym znajdował się kałamarz napełniony atramentem. Każdy zrobiony w zeszytach kleks powodował obniżenie stopnia. Napisyany tekst wycierało się arkuszem bibuły, która wchłaniała atrament i stanowiła załącznik przy kupionym zeszyście.

Z mamą przebywałem rzadko, ponieważ z powodu panującego głodu jeździła na wieś po żywność dla rodziny. Na każdy jej powrót czekałem z utęsknieniem, gdyż zawsze przywoziła mi słodycze. Stałym daniem obiadowym (choć obiadu nie jadało się codziennie) były gotowane kartofle i surowa cebula polana olejem. Czasami dostawałem łyżkę tranu. Był to podobno wyciąg z wieloryba, który wzmacniał organizm dziecka. Nie wiem skąd mama to brała. Tran nie smakował mi, a niekiedy powodował torsje. Jadało się też surową brukiew. Herbatę, z powodu braku cukru, słodziło się sacharyną.

Zimą 1943 roku mama została zatrzymana przez Niemców w czasie łapanek w kolejce WKD z zakupioną na wsi żywnością. Jako tzw. „szmuglerka” trafiła do aresztu, który mieścił się w budynku szkolnym przy ul. Skaryszewskiej na Pradze. Budynek był ogrodzony drutem kolczastym i strzegli go uzbrojeni żandarmi. Chodziłem tam z babcią, by zobaczyć w oknie mamę, która zza krat słała mi całuski. Dzięki staraniom rodziny udało nam się po kilku dniach „wykupić” mamę u wpływowego żandarma (za dużą sumę pieniędzy). Została zwolniona z aresztu, ale ponieważ w czasie panujących mrozów spała na betonowej podłodze bez żadnego okrycia, nabawiła się galopujących suchot. Tak wtedy nazywano gruźlicę rozpadową. Przebywała jeszcze kilka dni w szpitalu św. Ducha przy ulicy Elektoralnej. W tych latach nie były dostępne antybiotyki, a choroba czyniła olbrzymie spustoszenie. Kiedy wypisano mamę ze szpitala ważyła około 35 kilogramów i do mieszkania na drugie piętro była wnoszona na rękach. Następnego dnia umarła – w wieku 36 lat. Pamiętam pogrzeb. Na Cmentarz Bródnowski z trumną jechał czarny karawan zaprzężony w dwa czarne konie. Za nim piechotą podążała rodzina i przyjaciele. Ja szedłem w pierwszym szeregu, prowadzony przez babcię. Z domu na cmentarz było do przejścia około 8 kilometrów – podróż przez zagęszczone miasto trwała 2 godziny.

Ojca nie pamiętam, gdyż zginął w Oświęcimiu w 1940 roku (zatrzymany został w ulicznej łapance).

Po śmierci mamy opiekowały się mną babcia i ciocia – mamy rodzona siostra. Ciocia zamieszkiwała z mężem na 6 piętrze w kamienicy na rogu Żelaznej i Krochmalnej, gdzie mieściła się domowa „fabryczka” cukierków rozprowadzanych do sklepów. Po zajęciach szkolnych przychodziłem tam i godzinami zawijałem w papier wyprodukowane słodycze. Byłem z tego zadowolony, bo mogłem zjeść dowolną ilość. Chodziłem również do drugiej „pracy”. Na Łuckiej pod numerem 2 mieściła się wytwórnia napoi i wód gazowanych „Z. Ruczaj”. Produkowano tam bardzo smaczne kwasy i lemoniady w kapslowanych, litrowych butelkach. Szczegółów technologii nie pamiętam. Kręciłem ręcznie za pomocą korby olbrzymie koło metalowe o dużej średnicy. Za godzinę pracy dostawałem 3 butelki kwasu.

Ulica Żelazna na odcinku Ceglana (obecnie Pereca) – Sienna była przedzielona wysokim murem tzw. „małego getta”. Przechodziłem tamtędy codziennie ze szkoły do domu. Na ulicy Prostej róg Towarowej znajdował się młyn i hurtownia mąki. W getcie panował głód i aby przeżyć Żydzi musieli przedostawać się na polską stronę i zdobywać żywność. W mej pamięci utrwalił się obraz, którego często byłem świadkiem. Na wprost ulicy Prostej w murze getta na samym dole wydrążony był niewielki otwór zasłonięty ceglami (niewidoczny z daleka). Obok muru chodził żandarm z karabinem gotowym do strzału, ale był chyba przekupiony przez Żydów, bo w momencie, gdy patrolował odcinek między Ceglana a Prosta (około 100 metrów) stał dość długo odwrócony tyłem do wydrążonego otworu. W tym czasie przez otwór przechodziło dwóch Żydów z workami i biegło do młyna po mąkę. Powrót z załadowanymi workami odbywał się w podobny sposób.

Pewnego razu byłem świadkiem jak kilku mężczyzn, widząc Żydów wracających z mąką do getta, pobito ich, zabrano worki, a gdy ci prosili o zwrot postraszyli, że doprowadzą ich do policji i zgodnie z obowiązującym prawem zostaną zastrzeleni.

Później w getcie było powstanie. Z mojego okna widoczna była olbrzymia luna pożarów. Czuć było fetor spalonych ciał ludzkich. Nocą było tak widno jak w słoneczny dzień.

Wojna i okupacja u niektórych osób powodowała nieodwracalne zmiany psychiczne, które czasami kończyły się tragicznie – tak jak niżej opisany przypadek. Otóż w mojej kamienicy pewien lokator w ciągu jednego roku stracił całą bliską rodzinę. Został zupełnie sam. Uznał się za króla, który poprowadzi naród polski do zwycięstwa i wypędzi Niemców. Z niewiadomych źródeł zdobył rekwizyty królewskie, tj. szatę, berło i koronę i w tym stroju chodził po ulicach, a za nim tłum gapiów w większo-

ci dzieci. Co pewien czas przystawał, wygłaszając przemówienia patriotyczne, że wojska Jagiełły są już w Berlinie. Któregoś dnia, wracając ze szkoły, na rogu Złotej i Żelaznej zatrzymałem się z grupą „słuchaczy” króla. Zbiegowiskiem zainteresował się oficer niemiecki znający język polski. Posłuchał królewskiej mowy, wyjął pistolet i zastrzelił chorego człowieka, a zebranych kazał się rozejść. Przestraszony pobiegłem szybko w kierunku domu. W wieku 8 lat byłem naocznym świadkiem egzekucji. Scena ta śni mi się często po nocach, pomimo że od tego czasu upłynęło ponad pół wieku.

Mimo że termin rozpoczęcia powstania warszawskiego był ściśle tajny, to już w przeddzień wiedziało o tym całe podwórko. Nie wiem skąd się ta wiadomość wzięła, ale przez cały dzień bawiliśmy się w Niemców i powstańców, strzelając do siebie z karabinów zrobionych z kija.

Rejon mojego miejsca zamieszkania był od początku powstania bombardowany przez niemieckie samoloty i ostrzeliwany przez „krowy”, czyli działa. Zanim nastąpił wybuch słychać było coś zbliżonego do głosu ryczącej krowy (stąd potoczna nazwa), a po chwili sześciokrotny huk pocisku w odstępach kilku sekund. Moc rażenia była tak wielka, że nie każdy budynek to wytrzymał. Niektóre rozpadały się w gruzy, grzebiąc pod nimi mieszkańców. Wszyscy lokatorzy mojego domu od początku powstania przebywali w piwnicach. Tam się sypiało na siennikach ze słomy. Z powodu przepełnienia na jednym sienniku spało na zmianę po kilka osób. Dzieci miały pierwszeństwo. Do mieszkań chodziło się na mycie i zmianę bielizny. Ja z moim rówieśnikiem, przeważnie wieczorem, pod pretekstem pójścia po coś do mieszkania, wymykałem się z piwnicy i wchodziłem na strych 5-piętrowej kamienicy. Stamtąd obserwowałem, jak samoloty rzucają bomby na Warszawę. W naszym wieku uczucie strachu i niebezpieczeństwa nie było znane.

Jak w większości domów tak i w naszym na podwórku znajdowała się kapliczka, przy której wieczorami zbierali się domownicy na wspólnej modlitwie. Czasami mszę odprawiał ksiądz, który przychodził z kościoła na placu Grzybowskiem.

Powszechnie panował głód. Brak było podstawowych pokarmów, chleba i wody, po które chodziło się z wiadrami do sąsiedniego domu. Ustawiały się tam długie kolejki. Pamiętam z tego okresu dwa dni, kiedy byłem do syta najedzony. Raz kiedy to oddziały powstańcze Armii Krajowej zdobyły magazyny żywnościowe „Haberbuscha” na ulicy Żelaznej róg Grzybowskiej. Na tę wiadomość okoliczni mieszkańcy pobiegli tam, by się zaopatrzyć. Ja też tam byłem. Każdy chciał coś wziąć dla siebie, dla rodziny i rannych. Porządku pilnowało 2 chłopaków, niewiele starszych ode mnie, z biało-czerwonymi opaskami z napisem „Wojsko Polskie”. Wspólnie przynieśliśmy dwie litrowe butelki soku pomarańczowego, musztardę i wiadro ogórków kiszonych. Drugi raz zaspokoilem głód już pod koniec powstania, przy okazji zrzutu spadochronowego, który spadł dwie kamienice obok, na podwórku Łucka 12. Każdy mieszkaniec otrzymał czekoladę oraz przetwory mięsne w blaszanych puszkach. Był to jedyny szczęśliwy dzień w czasie powstania.

Pamiętam jeden szczególnie tragiczny dzień. Było spokojnie, nie słyszeliśmy strzelaniny ani bombardowań. Wieczorem po modlitwie udaliśmy się do piwnic na spanie. W pewnym momencie padł strzał karabinowy, po którym rozległ się przeraźliwie głośny krzyk kobiety: „ratujcie, ratujcie!”. Wyjrzelśmy przez piwniczne okienko. W bocznej oficynie na drugim piętrze w oknie widać było panią Welpową, której ciało do połowy zwisało z parapetu, a twarz ociekała krwią. Strzelił do niej niemiecki „gołębiarz” ukryty za murem sąsiadującego budynku przy ulicy Grzybowskiej. Pani Welpowa była przytomna, ale oprócz rany głowy miała uszkodzony kregosłup i nogi, więc nie była w stanie przechylić się do tyłu, by schronić się za ścianą okienną. Usiłował jej pomóc sąsiad, chcąc ściągnąć ją z parapetu do mieszkania, ale i on został ostrzelany, więc zrezygnował z udzielenia pomocy. A ona nadal wzywała ratunku. Później jej wołanie ucichło. Leżała w takiej pozycji aż do rana – zmarła z upływu krwi. Została pochowana w wykopanym dole w sąsiednim podwórku, zawinięta w prześcieradło, bo nie było już desek na trumny. Był tam teren bezludny, kamienicę rozwalila bomba w 1939 roku i z tego względu powstał tam cmentarz dla zabitych i zmarłych. Ja również, nieco później, zostałem ranny w nogę i do chwili obecnej mam kilka odłamków w kości podudzia lewej nogi. Przy lekkim przypadkowym uderzeniu w to miejsce odczuwam silny ból. A było to tak. W piwnicy, na skutek dużego zagęszczenia, panował smród i zaduch. Kiedy był spokój, ludzie wychodzili na powietrze, by się dotlenić. Tego dnia było cicho, więc razem z dziadkiem i kilkoma innymi osobami wyszedłem na podwórko i usiadłem na pęczku słomy przed domem. Ja usiadłem pierwszy przy wejściu do piwnicy, obok mnie dziadek i pozostali. Starsi rozmawiali i palili papierosy. Nagle eksplodował granat rzucony w nas przez Niemców. Ja, siedząc przy wejściu, zostałem siłą wybuchu wrzucony po schodach do piwnicy i trafiony niewielkim odłamkiem w nogę. Przez kilka dni byłem głuchy od huków. Dziadek doznał rozległych ran obu nóg i nie mógł się poruszać. Nasz sąsiad, pan Wójcik, został zabity. Pochowano go w prześcieradle obok pani Welpowej.

W końcowej fazie powstania, gdy okolica nie była nękana ostrzeliwaniem i bombardowaniem, czasami wymykałem się z piwnicy, aby pospacerować po sąsiednich ulicach. Szedłem ulicą Żelazną i skręciłem w Grzybowską. Naprzeciw mnie, w odległości kilku metrów, zobaczyłem dwóch żandarmów z bronią gotową do strzału. Popatrzyli na mnie i zawołali: „Kom, kom” (podejdz). Ogarnął mnie

przeraźliwy strach. Pomyślałem, że mnie zastrzelą. Ku mojemu zaskoczeniu jeden z żandarmów wyjął z kieszeni garść cukierków i dał mi je! Byłem zdumiony i nie wiedziałem jak mam zareagować. Ukłoniłem się i biegiem polecałem w kierunku domu, trzymając w ręku słodycze. Gdy o tym zdarzeniu opowiedziałem babci, podejrzewano, że cukierki są zatrute. Ale ja już jednego zjadłem po drodze i nie mi się nie stało. Różne były reakcje i zachowania Niemców podczas wojny.

2 października, po kapitulacji powstania, do naszego domu przyszedł żandarm z tłumaczem i rozkazał, żeby w ciągu pół godziny wszyscy lokatorzy z podręcznym bagażem stawili się na podwórku do ewakuacji. Rannych, nie mogących poruszać się o własnych siłach, należało dostarczyć i zostawić w sąsiednim podwórku pod numerem 6 – tam gdzie się zakopywało zabitych i zmarłych. Z pomocą sąsiadów odtransportowaliśmy dziadka do wyznaczonego punktu, żegnając się z nim przed wywiezieniem w nieznane. Było to nasze ostatnie pożegnanie z nim, bo Niemcy wszystkich rannych pozabijali, a następnie podpalili (jak zeznał w powojennym procesie jeden z oprawców).

Ludzie przed wypędzeniem pospiesznie zakopywali w ogródku wartościowe przedmioty licząc, że kiedyś tu powrócą. Babcia spakowała do walizki na drogę żywność i rzeczy osobiste, a ja w tym czasie pobiegłem na ulicę Żelazną, by pożegnać powstańców udających się do niewoli w wojskowym szyku. Cywile dawali im chleb i marmoladę, a niektórzy żegnali znakiem krzyża.

W wyznaczonym czasie wszyscy mieszkańcy ul. Łuckiej byli gotowi do wymarszu. Nikt nie wiedział jaki będzie nasz los i dokąd pójdziemy. Jak się okazało szliśmy piechotą pod eskortą żandarmów aż do Pruszkowa, gdzie na terenie Zakładów Naprawczych Kolei mieścił się obóz przejściowy – tzw. „Durangschalager 121”. Po drodze mijaliśmy spalone domy, ludzkie trupy w rozkładzie i zabite konie.

W obozie przebywaliśmy dwa tygodnie w olbrzymich halach, po kilkaset osób w jednej. Spanie było na betonowej podłodze, tylko dzieci korzystały z przywileju leżenia na słomie. Porcje dziennego wyżywienia to kubek czarnej kawy, kawałek chleba z margaryną i talerz zupy. Gdy ogłoszono ewakuację odczytany został rozkaz komendanta, by ludzie starsi i matki z dziećmi stanęli po jednej stronie placu, a pozostali po drugiej. Była to selekcja. Tych pierwszych wywożono na wieś do Niemiec. Babcia zaprzyjaźniła się w Pruszkowie z panną Stasia, młodą, samotną kobietą. Groziła jej wywózka do obozu pracy. Babcia wpadła na pomysł, abym występował w charakterze jej synka, więc mówiłem do niej „mamusiu”. Z tego powodu, jako matka z dzieckiem, została razem z nami odtransportowana w wagonie towarowym do Bochni. Podróż trwała kilka dni. Pociąg często się zatrzymywał, bo w pobliżu przechodziła linia frontu. Niemcy wycofywali się. Kilka osób z transportu zmarło. Trupy wyrzucano na postojach, by uniknąć epidemii. Pani Stasia zgubiła się z nami w wypełnionym wagonie. Nie wiem jaki ją spotkał los i czy jeszcze żyje.

Zamieszkaliśmy z babcią u gospodarza w Niewiarowie, któremu w zamian za pokój i wyżywienie pomagaliśmy w pracach domowych. Na początku stycznia 1945 roku wojska sowieckie oswoodziły wieś. Miejscowa ludność, a szczególnie kobiety, bała się żołnierzy i chowała się w polnych lepiankach. Ci jednak nie wyrządzili nikomu żadnych szkód ani krzywd. Żądali jedynie, aby im oddać zegarki i alkohole. Tańczyli i śpiewali przy ogniskach, ciesząc się z rychłego zakończenia wojny. Posiadanie ręcznego zegarka było dla nich synonimem bogactwa – z tego powodu niektórzy mieli na rękę po kilka. Podkomendni patrzyli na nich z szacunkiem i zazdrością.

Gdy dowiedzieliśmy się, że 17 stycznia została wyzwolona Warszawa, chcieliśmy jak najprędzej tam powrócić. Ale takich ochotników były tysiące. Powrót do stolicy trwał około 2 tygodni. Podróżowaliśmy pieszo, furmankami, pociągami i samochodami. Początkowo zatrzymaliśmy się u cioci na Okęciu, po czym udaliśmy się z babcią do naszego mieszkania na ulicę Łucką. Kamienica ocalała, chociaż w dużym stopniu okaleczona pociskami. Mieszkania zastaliśmy puste, a zakopanych kosztowności nie było. Jak później ustalono, jeden z mieszkańców domu, pan L., już pierwszego dnia po wyzwoleniu Warszawy przyjechał furmanką z pobliskich Michałowic, powykopywał dobytek wszystkich mieszkańców i wywiózł na wieś. Wzbogacił się na wojnie kosztem sąsiadów, z którymi utrzymywał przyjacielskie stosunki. Ale takie są prawa wojny.

Później wojna się zakończyła i zaczęło się normalne życie. Na podwórku jednej ze zniszczonych kamienic przy ul. Łuckiej znajdowała się duża ilość amunicji różnego kalibru oraz rakiety. My bawiliśmy się w wojsko. Nie było tam karabinów ani pistoletów, więc najstarszy z nas – 14-letni Witek – wymyślił, że można rozpalić ognisko, ogrodzić ceglami i wrzucać naboje, a wtedy one eksplodują. Chwaliliśmy się do piwnicy i przez okienko obserwowaliśmy wybuch, który następował po kilku sekundach. Była to dla nas wspaniała zabawa do momentu, kiedy Marek nie zdążył na czas schować się do piwnicy i rozrywająca się kula raniła go w nogę. Zabawa ze śmiercią i kalectwem została zakończona.

Kamienica związana z moim wojennym dzieciństwem przetrwała wojnę i do chwili obecnej zamieszkują w niej lokatorzy, pamiętający tamte czasy. Opisane miejsca mojego wojennego dzieciństwa nie istnieją – stoją tu nowoczesne bloki mieszkalne z garażami i wodą oligoceńską. Z tamtych lat pozostało tylko wspomnienie i kiedy tam przychodzę, to opisane zdarzenia i postacie odżywają na nowo. Jak sceny ze starego filmu przypominają mi okrucieństwo wojny. Oby tego nie doznały dzieci i wnuki.